

Urlop jako dopust

Raz do roku nadchodzi moment, kiedy człowiek bierze urlop. Zbliżanie się urlopu bezbłędnie sygnalizuje pogoda. Na dwa tygodnie przed jego rozpoczęciem robi się zimno i mokro. Apogeum najczęściej następuje po dotarciu do celu. O ile w przyprawie odwagi urlopowicz opuści na chwilę kwaterę, zostanie sponiewierany przez deszcz, wicher i morze kotłujące się z taką wściekłością, jak gdyby pamiętało go z poprzedniego roku. Wcześniejsze plany (będziemy biegać po plaży, zwiedzać, maszerować itd.) biorą w łeb. Ambitne marszobiegi kończą się po stu metrach w najbliższym barze. Wiem, co piszę, bo kiedyś w miejscowości Grzybowo pod Kołobrzegiem już następnego deszczowego dnia po przyjeździe zdobyłem w barze prawo do zniżki przy zakupie piwa jako stały klient. W Rowach lało przed laty równo przez dwa tygodnie, ale tam zniżki nie dostałem, bo knajpiarz by zbankrutował.

Jeśli nawet pokaże się słońce, człowiek czyta na plaży gazetę o raku skóry, dziurze ozonowej nad głową, zapasach broni chemicznej na dnie Bałtyku i tym podobnych atrakcjach. Piasek boleśnie siecze po nogach i włazi wszędzie ze szczególnym uwzględnieniem aparatu fotograficznego. Kojąca bryza morska przynosi zewsząd zapach gnijących meduz, glonów i smażonego oleju. Setki dzieci budują setki zamków z piasku i pracownicy przekopują kanały ze środka plaży do wody. Plaża zryta jest dołami jak po lądowaniu aliantów w Normandii. Ponieważ utarło się, że nad morzem jada się ryby, człowiek przez dwa tygodnie konsumuje smażone kawałki dorsza bądź innej płastugi w panierce (z przewagą panierki). Ryby ponoć pochodzą ze świeżego połowu, ale wątpię, żeby pływały w morzu jako filety. Większą pewność mam co do panierki.

Mimo permanentnego braku słońca skóra, wstrząśnięta nieoczekiwanymi doznaniem, zaczyna boleśnie złościć od wiatru i soli. Jedynym plusem jest brak sowieckich odrzutowców, które przed laty śmigły trójkami tuż nad plażą.

Na kwaterze spotyka się innych urlopowiczów. Na pytanie „A państwo skąd?” najczęściej słyszy się, że z Teofilowa. Z grajdołów niezmiennie słychać „Dzień dobry, panie profesorze!” (uczniowie - w czasach, kiedy pracowałem w szkole), „panie redaktorze” (czytelnicy w czasach pracy w gazecie), „panie Michale” (koledzy z obecnej pracy i petenci).

Dzień na urlopie niczym nie różni się od dnia pracy. Rano zależnie od pogody wymarsz na plażę albo do kawiarni, potem przerwa obiadowa, po obiedzie zależnie od pogody wymarsz na plażę albo do kawiarni, wieczorem zależnie od pogody wymarsz do innej kawiarni. I tak przez dwa tygodnie. Po powrocie wrzuca się do komputera zdjęcia i ogląda fale utrwalone na kilkuset fotkach. Kiedyś porównałem zdjęcia z kilku urlopów. Były identyczne.

Na szczęście po urlopie wraca się do pracy i normy. Opalenizna schodzi, człowiek nabiera tradycyjnego bladego koloru. Już po kilku dniach jest tak samo zmęczony jak przed wyjazdem, bo teraz inni pojechali na urlop, a ktoś musi za nich pracować.

Oczywiście wszyscy wiemy, że te utyskiwania to żart. Urlop jest wspianym wydarzeniem i wszystkim życzę, żeby był udany pod każdym względem.

Michał B. Jagiełło